

## **Przemysław Piętaś: Krótki tekst o zaufaniu**

Istnieje kategoria, która wymyka się naszemu myśleniu o bezgranicznym zaufaniu



**Istnieje kategoria, która wymyka się naszemu myśleniu o bezgranicznym zaufaniu**

I.

Zaufanie – to przekonanie, że druga strona chce twojego dobra. Co więcej, że chce twojego dobra, można powiedzieć, aktywnie – to znaczy, że nie tylko twojego dobra chce, ale że do tego dobra dąży. W czym to dążenie, się przejawia? Po pierwsze, w opozycji do zła. Osoba, której

ufasz, to taka, o której wiesz, że cię nie skrzywdzi, nie dopuści do tego, aby stała ci się krzywda, abyś cierpiał. To pierwszy wymiar. Drugim, jest aktywne dążenie do szczęścia drugiej strony. Osoba, której ufasz, chce i dąży do tego, abyś był szczęśliwy, nie tylko poprzez minimalizację zła w twoim życiu, ale również poprzez maksymalizację dobra. Możemy zatem mówić o zaufaniu realizowanym poprzez negację zła i afirmację dobra. Ostatecznym celem tego, komu się ufa, jest w obydwu przypadkach szczęście tego, który ufa. Ale to dążenie do szczęścia drugiej strony możemy też nazwać inaczej. Dążenie do szczęścia drugiej strony to przecież jedna z definicji miłości.

Zaufanie wypływa z miłości, a miłość oparta jest na zaufaniu. Możemy powiedzieć wręcz, że zaufanie jest probierzem, sprawdzianem miłości, chociaż z drugiej strony – czy prawdziwa miłość potrzebuje sprawdzianu? Poczucie zaufania – wzajemnego zaufania – daje jednak pewność, że miłość jest autentyczna, że nie została pomyłona z innym uczuciem, które czasem miłości towarzyszą, a czasem z miłością są mylone, na przykład z pożądliwością, zauroczeniem, chęcią posiadania, egoizmem. Tam, gdzie nie ma zaufania, tam nie ma też miłości, i odwrotnie – tam, gdzie jest zaufanie, tam jest i miłość.

## II.

Zaufanie w relacji człowieka z Bogiem – fundamentalna kwestia, której zrozumienie jest warunkiem poznania istoty chrześcijaństwa. W tym kontekście, musimy pamiętać, że mówiąc o zaufaniu, mówimy o relacji osobowej i o relacji dwustronnej. Mówiąc o relacji osobowej w kontekście zaufania, oznacza to, że jedna Osoba ufa drugiej Osobie. W żadnej innej relacji zaufanie nie jest możliwe. Zaufanie przez samą

swoją obecność podkreśla zatem, niejako uwypukla, że ten, kto ufa, jest Osobą – i ten, któremu ufa, jest Osobą. Tylko Osoby potrafią ufać, dlatego zaufanie jest dostępne tylko istotom wyższym, od człowieka w górę, możemy powiedzieć kolokwialnie. Zwierzęta nie mogą i nie potrafią ufać, nawet jeżeli mówimy czasem „ufny jak pies”, to tylko w znaczeniu potocznym, pies nie może ufać, bo nie zna i nie potrafi zdefiniować pojęcia szczęścia, i nie można w pełni mu zaufać, ponieważ posługuje się instynktem, a nie świadomym dążeniem. Tu zapewne odezwą się oburzeni właściciele psów.

Zaufanie jest relacją dwustronną, czyli wzajemną. To znaczy, że człowiek ufa Bogu, ale to znaczy również, że Bóg ufa człowiekowi. Zastanówmy się przez chwilę, na tym to zaufanie polega, jakie są jego przejawy?

Człowiek ufa Bogu – to znaczy, człowiek wierzy Bogu. Nie tylko wierzy w Boga, w sensie wierzy w Jego istnienie, Jego obecność, ale wierzy również, przede wszystkim na poziomie opartej na zaufaniu relacji. Ufność człowieka wobec Boga jest owocem wiary w Jego miłość, w to, że Bóg kocha, to znaczy dąży do naszego szczęścia. Ufam Bogu, to znaczy wierzę, że Bóg chce mojego dobra, chce, abym był szczęśliwy.

Tu jednak ujawnia się fundamentalny konflikt, jakże powszechny, a przecież o doniosłym znaczeniu – konflikt pomiędzy zaufaniem i cierpieniem. „Zawiodłeś mnie, Boże”, krzyczy z bólu matka, której dziecko umiera. „Gdzie był Bóg?”, pytają ci, których przodkowie zginęli w Auschwitz, w Katyniu i innych miejscach kaźni. Zranione zaufanie człowieka do Boga naznaczone jest często bolesnym, ale zarazem oskarżycielskim pytaniem „Dlaczego?”

I nie jest łatwo znaleźć na to pytanie odpowiedź. Teologowie i kapłani zazwyczaj radą sobie z nim argumentując, że wyroki Boże są niezbadane, i że zaufać Bogu, to znaczy bezwarunkowo założyć, że Bóg wie lepiej, i że z każdego zła potrafi wyprowadzić jakieś dobro, nawet jeżeli nie zawsze, nie od razu (nigdy?) potrafimy sobie zdać z tego sprawę. Instyktownie czujemy jednak, że nie jest to wyjaśnienie w pełni satysfakcjonujące. Niepostrzeżenie bowiem, kojąca opowieść o zaufaniu staje się po prostu nakazem ślepego posłuszeństwa, a dobrotliwe spojrzenie kochającego ojca przemienia się w marsowe oblicze surowego władcy i sędziego. Jak sobie z tym poradzić?

### III.

Jeżeli w naszym życiu pojawia się zło, wiele zależy od tego, kto jest sprawcą tego zła. Paradoksalnie bowiem, nawet najokrutniejsze zbrodnie dokonane ludzką ręką nie muszą konieczne przekreślać naszego zaufania Bogu. Żyjemy i działamy bowiem w świecie, w którym każdy człowiek bez wyjątku został obdarzony wolną wolą – wolną, to znaczy zdolną do czynienia dobra i zdolną do czynienia zła. W tym sensie, nawet Holocaust nie wyczerpuje naszego zaufania Bogu, został bowiem dokonany ludzką ręką zbrodniarzy. Dlaczego Bóg milczał? Bo obdarzył nas wolnością i jest w tym obdarowaniu do końca konsekwentny. Za zło tego świata odpowiadają ludzie, którzy tego zła dokonują, a nie Bóg, który ich stworzył i obdarzył wolną wolą. Wolna wola wyklucza zaś możliwość bezpośredniej, boskiej interwencji.

Istnieje jednak kategoria, która wymyka się naszemu myśleniu o bezgranicznym zaufaniu Bogu. Nie są nią jednak ludzkie zbrodnie, ale niezawinione przez nikogo cierpienia niewinnych. Wie o tym dobrze Iwan Karamazow, bohater powieści Dostojewskiego, zadając w swoim przejmującym monologu pytania, na które nie ma odpowiedzi.

„Słuchaj, jeżeli wszyscy powinni cierpieć, aby cierpieniem okupić wieczną harmonię, to co tu robią dzieci, powiedz mi, proszę? Zupełnie nie mogę zrozumieć, czemu one mają cierpieć, i dlaczego mają cierpieniem okupić harmonię? Dlaczego one stały się mierzwą do użyźniania jakiejś przyszłej harmonii? (...) I jeżeli cierpienia dzieci mają dopełnić sumy cierpień, która jest niezbędna do kupienia prawdy, to z góry twierdzę, że cała ta prawda nie jest warta takiej ceny”.

Dostojewski stawia pytania graniczne, buduje z nich mur nie do przezwyciężenia. Jeżeli cierpienie niewinnych nie jest spowodowane umyślnym działaniem innego człowieka, ale na przykład nieuleczalną chorobą, to kto jest sprawcą tego cierpienia? Czy cierpienie może narodzić się samo, czy też zawsze jest ktoś, kto je zsyła? A jeżeli to Bóg zsyła cierpienie na niewinnych, to w jakim czyni to celu? I wreszcie – jak można zaufać Bogu, który jest sprawcą cierpienia?

Teologowie odpowiedzą zapewne, że cierpienie – każde cierpienie – otwiera nas na tajemnicę Krzyża. Chrystus nie umarł dlatego, że był winny, ale dlatego, że – sam będąc bez grzechu – dobrowolnie oddał życie za nasze grzechy. Chociaż całkowicie posłuszny woli Ojca, chociaż jego wybór był aktem całkowitego zaufania Bogu, to przecież do końca pozostał wyborem wolnym. Nawet wybierając Krzyż, Chrystus nadal

zachowuje pełnię swojej wolności. Czy Chrystus mógł odrzucić Krzyż, nie przyjąc związanego z nim cierpienia?. Nie ma na to prostej odpowiedzi. Można tylko przypuszczać, że będąc Bogiem i odrzucając krzyż, Chrystus niejako odrzucałby swoją własną wolę, byłby to zatem wybór wewnętrznie sprzeczny. Obdarzony jedną ludzką naturą, Chrystus pozostawał jednak całkowicie wolny, tak, jak całkowicie wolny jest każdy z nas – i w tym sensie możemy mówić o świadomym i dobrowolnym wyborze krzyża.

Istnieją jednak w życiu człowieka sytuacje, w których – pomimo naszej wolnej woli – zostajemy pozostawieni bez wyboru. Cierpienie innych do takich właśnie sytuacji należy. Choroby nie można wybrać lub jej odrzucić, można co najwyżej wybrać naszą postawę wobec choroby, sposób leczenia, reakcję na cierpienie. Wobec samego faktu choroby, wobec samego cierpienia pozostajemy jednak bezradni, a Bóg, któremu zaufaliśmy, nagle staje się Bogiem nieobliczalnym, nieprzewidywalnym. Czy można w pełni zaufać Nieobliczalnemu? Nie podejmuję się odpowiedzi na to pytanie.

#### IV.

Pociechę, chociaż być może nikłą, stanowi fakt, że nawet jeżeli człowiek, w swojej niedoskonałości, nie potrafi bez reszty zaufać Bogu, to Bóg wydaje się ufać człowiekowi bezgranicznie. Pismo Święte – zarówno Stary, jak i Nowy Testament – możemy odczytywać jako opowieść o boskim zaufaniu do człowieka.

Przypomnijmy sam początek tej opowieści, zawarty w Księdze Rodzaju. Oto Stwórca umieszcza Adama i Ewę w rajskim ogrodzie Eden, nakazując im tylko jedno – aby nie spożywali owoców z drzewa poznania dobra i zła. Czy sam ten nakaz nie jest jednocześnie dowodem zaufania? Bóg wierzy, że człowiek będzie w stanie oprzeć się pokusie, że wysłucha jego nakazu, ale jednocześnie – pozostawia go wolnym. Idąc dalej – czy sama wolna wola nie jest jednocześnie największym dowodem boskiego zaufania? Bóg mógł uczynić z nas przecież bezwolne roboty, zdolne wyłącznie do czynienia dobra. Poprzez wolną wolę, zostaliśmy jednak wyposażeni w zdolność dokonywania wyborów. Zaufanie Boga do człowieka objawia się w tym, że wierzy i ufa w to, że będziemy w stanie sami dokonywać dobrych wyborów – nawet jeżeli nieustannie to zaufanie zawodzimy poprzez grzech. A jednak nie ma takiego upadku, który byłby w stanie to boskie zaufanie do nas zawieść całkowicie. „Nieważne, czy wierzysz w Boga” – pisał Gabriel García Márquez – „ważne, czy Bóg nadal wierzy w ciebie”.

Ten sam Bóg, który wezwał Abrahama do złożenia ofiary ze swojego ukochanego syna, ufając, że Abraham na to wezwanie również odpowie zaufaniem. Bóg, który dał Mojżeszowi Dziesięcioro Przykazań, ufając, że będziemy potrafili zgodnie z nimi postępować. I wreszcie Bóg, który w osobie swojego Syna wybrał na swoich uczniów nie najpotężniejszych tego świata, ale garstkę rybaków, niepewnych i słabych. Bóg, który zaufa Piotrowi nawet wtedy, gdy ów trzy razy się go wyprze. Bóg, który zbawia świat, nawet gdy świat zwraca się przeciwko niemu, skazując go na śmierć.

V.

Tam, gdzie nie ma dwustronnej relacji opartej na wzajemnej miłości, tam nie ma też mowy o zaufaniu. Być może dlatego współcześnie możemy mówić o kryzysie zaufania, o tym, że jest go w nas i wokół nas coraz mniej. Nie ufamy sobie nawzajem, nie ufamy współpracownikom, nie ufamy rządzącym i politykom – a i oni ufają nam coraz mniej, tworząc wciąż nowe prawa oparte o system nakazów i kar. Być może kryzys wzajemnego zaufania ma też związek z coraz większym indywidualizmem. Egoista ufa wyłącznie samemu sobie, oceniając drugiego człowieka tylko pod względem przydatności dla realizacji własnych potrzeb. W naszych relacjach, zaufanie coraz częściej zastępuje wyrachowana kalkulacja, zimny rachunek zysków i strat.

A przecież tak być nie musi. Co więcej, odbudowa zaufania w naszym społeczeństwie, tak obecnie podzielonym, wydaje się niezwykle palącą potrzebą, jeżeli nie chcemy, aby to społeczeństwo w kolejnych latach uległo całkowitej dezintegracji. Jest jednak jeden warunek. Żeby znów zacząć sobie ufać, musimy zacząć dostrzegać siebie nawzajem – nie przez pryzmat partii i towarzyszących im ideologicznych haseł, ale w relacjach pomiędzy konkretnymi, pojedynczymi ludźmi. Upartyjnienie polskiego życia społecznego, to, że sympatię dla jednego lub drugiego ugrupowania zaczynamy traktować jako czynnik oceniający drugiego człowieka zanim jeszcze podejmiemy jakąkolwiek próbę wzajemnego poznania, jest niszczące i szkodliwe. Partia, ugrupowanie, instytucja nigdy nie może być przedmiotem zaufania, ponieważ nigdy nie będzie tego zaufania podmiotem. Zaufanie powinno być relacją wzajemną, dwustronną, a partia – jak pies – nie może i nie potrafi ufać.

O słabości naszej klasy politycznej – poza wszelkimi innymi powodami – świadczy również to, że w publikowanych cyklicznie sondażach, zaufanie do polityków wydaje się systematycznie spadać. Na palcach jednej ręki można policzyć polityków, do których zaufanie deklaruje większość ankietowanych. O wiele częstszą odpowiedzią jest nieufność lub obojętność. A przecież polityk, czy, szerzej, każdy lider, musi zbudzać zaufanie, jeżeli chce skutecznie realizować swój program. Istotą przywództwa nie jest charyzma podparta propagandowymi sztuczkami, ale umiejętność wzbudzania autentycznego zaufania – autentycznego, bo każdy odkryty fałsz powoduje, że zaufanie pryska jak bańka mydlana. I może na tym właśnie polega kłopot z naszym życiem politycznym i społecznym, że w polityce nie ma autentycznych liderów, autentycznych przywódców, mężów stanu, którym potrafilibyśmy zaufać – i dzięki temu, zacząć bardziej ufać sobie nawzajem.

Tam, gdzie nie ma zaufania, nie będzie też bowiem prawdziwej polityki, rozumianej jako rozumna troska o dobro wspólne. Polityka polegająca wyłącznie na wzajemnej walce, na pokonaniu przeciwnika, z prawdziwą polityką nie ma wiele wspólnego. Pozostaje zatem mieć nadzieję, że w najbliższych latach na polskiej scenie politycznej zaczną pojawiać się ludzie będący w stanie wzbudzić autentyczne, nie wyreżyserowane i nie wynikające z wyrachowania i kalkulacji zaufanie.

Tylko, gdzie takich szukać?

*Przemysław Pięta*